Rok XIII. Maj 1889. Nr. 5.



MIESIĘCZNIK
galicyjskiego
TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Wychodzi we Lwowie z końcem każdego miesiąca. Wkładka roczna z prenumeratą wynosi 1 zł. 20 ct. Dla nauczycieli pow. i uczniów tylko 70 cent. przesyłką 82 ct.

Administracya i ekspedycya we Lwowie ulica Teatyńska liczba 23, dokąd też wszystkie przesyłki, wkładki i prenumeraty adresować należy.

Redaktor: Feliks Lewandowski.

Gołębie świętego Marka.

(Wspomnienie naocznego świadka.)

W dawnej Wenecyi dwie były Rzeczy pospolite: jedna wenecka, druga Rzecz pospolita gołębi. Ten naród żeglarzy, co zbudował sobie stolicę na pełnem morzu — z dawien dawna polubił gołębie, niekoniecznie wprawdzie dla tego, aby zjadać z nich potrawki, jak naprzykład Francuzi, ale że przypominały mu gołębia wypuszczonego z arki. Gołębie weneckie z całą swobodą zlatywały na każdy okręt, dopływający do Lido z dalekiej zamorskiej podróży, a widok ulubionych ptaków zwiastował przybywającym radośną nowinę, że już stanęli u celu.

Niektórzy zaślepieni Wenecyanie, zabierali z sobą gołębie jako pamiątkę po nieobecnej ojczyznie, głównie zaś jako „posłanników miłości". Nieraz gołąb taki tysiące mil przebywał, aby na placu św. Marka złożyć wieść pomyślną żonie lub kochance oddalonego wędrowca: wstążeczka w kolorach Wenecyi była wystarczającym znakiem miłości i wesela. Często się jednak zdarzało, że gołąb powracał z uszkodzonem skrzydełkiem, jako zwiastun żałoby; wypuszczono go bowiem w chwili rozbicia się okrętu, przynosił z sobą tylko ostatni pocałunek, jaki sumiennie oddawał; gdyż wszystkie oczekujące na wiadomość kobiety, patrycyuszki, czy niewiasty z gminu, codziennie zbierały się na placu św. Marka, badając każdego gołębia, czy nie ma listu dla nich.

Gołębie św. Marka mają swoją własną historyę. Nie będę tu powtarzać wszystkich legiend, jakie o nich krążą; opowiem tylko jedną z najświeższych, którą cała Wenecya pamięta, a która mnie samemu łzy wycisnęła.

Poczciwe gołąbki! a przecież ich nie oszczędziła świętokradzka ręka! Bylo to w roku 1849. W Wenecyi istniała jeszcze Rzeczpospolita—jutrzenka, która nie miała nigdy ujrzeć wschodzącego słońca. W owym dniu rzucono się na gołębie, aby je pożreć. Ale po iluż dniach głodu! Wśród heroicznej obrony— wierne bowiem dzieci Wenecyi, jak lwy broniły swej matki, — zapomniano, że już od kilku dni zabrakło zupełnie zapasów żywności w mieście. Wówczas dopiero pomyślano o gołębiach i urządzono ogólne polowanie na uprzywilejowane dotąd ptaki, a jeśli wierzyć można Wenecyanom, to mnóstwo gołębi, które w pierwszej chwili popłochu zdołały uciec na sąsiednie wysepki, same dobrowolnie powracały, narażając się na śmierć nieochybną dla ocalenia zagrożonej głodem ojczyzny.

Trzeba także przyznać na chlubę Wenecyan, że po tej pierwszej i jedynej rzezi, postanowili jednozgodnie, że na przyszłość raczej umrą z głodu, aniżeli posuną się do tępienia niewinnych stworzeń, co dla Wenecyi musiałoby nieszczęście sprowadzić.

Od roku 1849 gołębie, nie będące bynajmniej mściwemi, całemi tłumami rojąc się, zlatują na codzienny posiłek, chwytany prosto z rąk mieszkańców. Trzeba być obecnym przy takiej uczcie, aby mieć pojęcie o ich ułaskawieniu. Najwyżej jeżeli na jeden lub dwa kroki odskoczą, żeby ustąpić ci z drogi. Siadają na ramionach gondolierów; dość okno otworzyć, a wlatują zaraz do pokoju z powitaniem cudzoziemca. Podczas, gdy piszę te słowa, dwa z nich spacerują sobie i dzióbią po moim stoliku. Przed chwilą całe stado opadło przekupkę, siedzącą pod mojem oknem, która właśnie zabierała się do śniadania. Biedna kobiecina niedługo jeść potrzebowała, dzięki pomocy swych gości,

Na kościołach i gmachach Wenecyi znajduje się mnóstwo posągów, statuetek, hipogryfów, akantów liściastych, lwów, jednorożców, całe bogactwo maurytańskiej i gotyckiej architektury, przeróżne ozdoby średniowieczne i z czasów odrodzenia. Nie wiem, czy gołębie weneckie są zamiłowane w sztukach pięknych, ale gnieżdżą się one pod wszystkiemi temi arcydziełami. Licząc zaś na każdą oddzielną rzeźbę jedno tylko gniazdko, to gniazd samych będzie około trzy tysiące.

W ostatnich chwilach panowania austryackiego w Wenecyi i gołębie bunt podniosły. Pewnego poranku setki ich ukazały się na placu św. Marka, niosąc sztandar zakazany, to jest, każdy z nich miał na szyjce wstążeczkę o barwach włoskich. Cała publiczność zapełniająca zwykle o tej porze plac św. Marka, hucznemi oklaskami powitała przybyszów. Kto przybrał i wystroił całą tę rzeszę niewinnych rewolucyonistów, dotąd pozostało niewyjaśnioną tajemnicą. Czarujący to był widok patrzeć na te stworzenia, drepcące na różowych nóżkach i podlatujące w około jak gdyby pysznić się chciały narodowym swym strojem. Można też sobie wyobrazić, ile pokruszonych ciastek znajdowały na bruku! *Mei cari piccolini.*

O mało je nie poduszono ciastkami i całusami. Gołębie św. Marka nigdy nie zaznały podobnej fety.

Ale w Wenecyi nie sami tylko znajdowali się Włosi. Wśród ogólnego rozweselenia zapomniano o Austryakach. I oto nagle cała załoga zaalarmowana, jak gdyby Katylina stanął przed bramami Rzymu. Kilku oficerów austryackich, którzy jedli śniadanie w kawiarni *Florian* i w *Quadri,* wyszło na plac, a jako ludzie rozsądni, przyglądali się spokojnie widowisku, nie posądzając ani Wiktora Emanuela, ani Garibaldego, rozumowali bowiem bardzo słusznie, że skoro rząd austryacki udzielił debit do Wenecyi dziennikom opozycyjnym, toż nie może obrazić się taką ptasią demonstracyą.

Na nieszczęście, jak wszędzie i zawsze tak i tu sprawdziło się, że największą klęską narodów są gorliwcy, jak to mówią, więksi papiści od samego papieża. Przybiegli na plac podoficerowie austryaccy, a ujrzawszy co się dzieje, przekonani byli, że to wybuch powstania. Ich zdanie przeważyło widocznie w decydujących sferach: gondolierom i ulicznikom przyobiecano nagrodę za głowę każdego zbuntowanego gołębia; ale gondolierzy powrócili do swoich gondol, a ulicznicy uznali, że nie warto trudzić się dla takiego głupstwa. Skonsygnowano więc wojsko; armaty na placu świętego Marka nabito drobnym nabojem i kanonierzy z zapalonemi lontami czekali rozkazu.

Oddział piechoty wystąpił na plac w bojowym szyku i po trzechkrotnem wezwaniu do rozejścia się, dano ognia. Jak zwykle dzieje się w podobnych wypadkach, postrzelono nie tylko zbuntowane gołębie, ale i wiele osób z publiczności.

Jeden krzyk boleści podniósł się w całej Wenecyi. Mordować gołębie św. Marka, to tak samo, jak gdyby rzucić się na

samego świętego, to też wszyscy, będący na placu mężczyzni, kobiety i dzieci otoczyli żołnierzy, prosząc ich ze łzami w oczach aby przerwali rzeź niewiniątek, a oni sami pozdejmują buntownikom rewolucyjne oznaki. W istocie, przez cały ten dzień zwabiano nastraszone gołębie i uwalniano je od zakazanych wstążeczek.

Pomimo to znalazła się pewna liczba gołębi, gorętszych patryotów, niechcących rozstać się z trójkolorową kokardą.

Garstka tych „nieprzejednanych“ pojawiała się od czasu do czasu na placu św. Marka, rozumie się zawsze podczas nieobecności żołnierzy austryackich, ale w końcu i ci emisaryusze znikli z oczu.

Czas już jednak przystąpić do przyobiecanej historyi.

Znałem w Wenecyi panią margrabinę Felicyę *, której pałac wznosił się w samym środku Wielkiego Kanału. Podziwiałem maleńką jej galeryę obrazów, mieszczącą w sobie tylko dwanaście arcydzieł, ani jednego płótna więcej, co świadczy o wytwornym guście margrabiny, gdyż w Wenecyi łatwiej jest niż gdziekolwiek indziej o liche malowidła, ale nieporównanie trudniej o prawdziwie dobra obrazy.

Z galeryi przeszliśmy oboje na balkon; ona dla miłości słońca, ja dla oglądania architektury. W tejże chwili nadleciało kilka gołębi. Markiza pieściła je i całowała z serdecznością istnie rozczulającą.

— To namiętność prawdziwa, pani! — rzekłem wskazując na gruchające obok niej ptaki.

— O tak, panie, gołębie te są upostaciowaną duszą Wenecyi! Widzisz pan tego naprzykład — dodała, biorąc do ręki pięknego gołębia — jest on z liczby owych nieśmiertelnych, co pierwsze przybrały się w narodowe kolory.

— Ach, prawda! — zawołałem — mówiono mi, żeś pani udała się na plac św. Marka podczas rzezi niewiniątek, i pokrwawiłaś białe swe rączki, opatrując rannych.

— Skoro pan słyszałeś już o tem — odparła markiza — powierzę panu pewną tajemnicę, ale pod największym sekretem.

— Przysięgam, że go dochowam, jak gdybym przysiągł przed Radą dziesięciu, w owych czasach, gdy jeszcze mury miały uszy!

Margrabina wróciła do galeryi i poprosiła mnie z sobą.

— Nie chciałam panu pokazać mojego portretu — rzekła — gdyż nie wpuszczam nikogo do tego saloniku, w którym nieboszczyk mąż mój miał swoją bibliotekę.

Uchyliła boczne drzwi i wpuściła mnie pierwszego.

Zaledwie przebyłem próg tego sanctuaryum, ponad głową moją przeleciał spłoszony gołąb.

— Niech to pana nie dziwi, że ucieka — przemówiła margrabina, drzwi zamykając. Wziął pana za Austryaka. Ale ja go zaraz uspokoję.

Był to jeden z owych słynnych rewolucyonistów z placu św. Marka. Na szyjce miał jeszcze buntowniczą kokardkę. Markiza przywołała go, wzięła do ręki, pocałowała delikatnie, i wzajemny przyjęła kares.

— Zapewne jeden z pacyentów pani? — zapytałem.

— Tak jest, uratowałam go od nieochybnej śmierci. *Povero piccolino!* mocno był ranny, zaledwie już poruszał skrzydełkami. Ukryłam go pod szalem i przyniosłam tutaj. A teraz masz pan dowód, jak umiem pielęgnować rannych, zdrowszy jest niż był kiedykolwiek. Ale lękam się go wypuścić na wolność, żeby mi go nie zabili.

— Czy nie możesz pani zatrzymać wstążeczkę, a gołębia wypuścić? bo bądź co bądź, zdaje mi się, że milszą by mu była wolność nad lagunami, aniżeli to złocone więzienie.

— To prawda, ale nie mogę się zdecydować na zdjęcie wstążeczki. Mój ukochany gołąbek powracający na plac św. Marka bez swojej kokardy, nie byłżeby do pewnego stopnia Maninem, wstępującym bez sztandaru narodowego do ujarzmionej Wenecyi?...

Takie było przekonanie margrabiny,

W kilka dni później rozeszła się po mieście pogłoska — proszę mi uwierzyć, że nie ja ją rozpuściłem — iż margrabina ukrywa w swoim pałacu niebezpiecznego rewolucyonistę.

W nieobecności gubernatora, podrzędne władze policyjne zarządziły obławę, żeby zaś spiskowiec nie mógł uciec, otoczono pałac ze wszystkich stron na lądzie i na wodzie.

Zapomniano o oknach!

Margrabina widząc, że sprawa przybiera groźne rozmiary, wyszła naprzeciw nieproszonych gości i z doskonale udanym niepokojem i trwogą, błagała ich o oszczędzenie jej wstydu rewizyi domowej. Ale czem więcej wydawała się strwożoną, tem nieugiętsi byli policyanci, liczący już na wspaniałą zdobycz.

Przetrzęśli cały pałac aż do poddasza, nakoniec weszli do małego saloniku, w którym margrabina stała przy otwartem oknie. Tuliła w obu rękach kochanego więźnia — co mówię? — gościa uwielbianego, okrywając go łzami, pocałunkami.

Gdy policyanci próg przestąpili, margrabina zwróciła się dumnie ku nim i pokazując gołębia, zawołała:

— Oto jest rewolucyonista, oto spiskowiec, oto Wenecyanin prawdziwy!

Rozgniewani policyanci takim rezultatem swej wyprawy, rzucili się naprzód, aby chociaż na gołębiu wywrzeć zemstę.

Ale i w tem się grubo pomylili.

Gdy już mieli pochwycić buntownika, margrabina podniosła rękę i puściła go na wolność.

— *Addio! caro mio!*

Gołąb, który dobrowolnie nieopuściłby może pałacu, ujrzawszy Austryaków, uleciał pędem strzały.

Ognia! — dał się słyszeć głos jednego służbisty.

Ile karabinowych strzałów padło za skrzydlatym zbiegiem, trudno obliczyć. Strzelano z dołu i z góry, z poddasza i z gondol stojących w Kanale; margrabina ze strachu przymknęła oczy, robiąc sobie wyrzuty, że wywołaniem takiej wściekłości, naraziła swego ulubieńca na niebezpieczeństwo.

Rewolucyonista tymczasem spoczął przez chwilę na szczycie kościoła *Santa Maria della Saluta*, a przesławszy ostatnie pożegnanie swojej opiekunce, zdrów i cały odleciał w kierunku Adryatyku.

Kiedy historya powyższa doszła przez pocztę gołębią do Wiednia, cesarz austryacki wydał rozkaz, aby szanowano gołębie św. Marka i żywiono je kosztem państwa, bez względu na ich polityczne przekonania.

JURATA*)

KRÓLOWA BAŁTYKU

(POWIASTKA ŻMUDZKA)

Ewarysta Estkowskiego.

Przed wieki, kiedy ludzie nie umieli jeszcze wytłómaczyć sobie ani tego szumu, huczenia i jęczenia morza, które w człowieku trwogę i podziw budzi, ani owego echa, odzywającego się w lasach i gęstwinach ciemnych puszcz, oni skąd się biorą bryły bursztynu pięknego nad brzegami Bałtyku, ani skąd pochodzi migająca w czarnych chmurach błyskawica i grzmiący piorun nad głowami; kiedy jeszcze nie znali prawdziwego Boga: wymyślili sobie różne bogi, boginie i duchy,

---

*) Pogoń.

mieszkające to w falach morza, to w lasach, chmurach i piorunach; wymyślili sobie różne cudowne dziewice na dnie rzek i jezior, zaczarowane królewne i królewiczów, a zjawiska, których wytłómaczyć sobie nie umieli, ustroili w dziwne powiastki, które idąc z ust do ust od wieków do wieków, doszły i do naszych czasów, a chociaż do nich tej wiary nie przywiązujemy, którą przywiązywali praojcowie nasi, jednakże mile nas bawią i długo jeszcze następców naszych bawić będą. W onych czasach dalekich i ciemnych powstała i następująca cudowna powiastka o Juracie.

Pramžimas, bóg nieba, ziemi i morza, miał śliczną córkę *Juratę*, której oddał królestwo wodne, t. j. panowanie nad wszystkimi mieszkańcami morza. Stolicą Juraty był pałac pyszny na dnie głębin morza. Ściany gmachu tego były z najczystszego białego bursztynu, progi ze złota, dach z rybich łusek a okna z dyamentów tak przeźroczystych jak woda.

Pewnego razu rozesłała Jurata wszystkich szczupaków z listami do wszystkich dziewic wodnych, rozkazując im, aby stawiły się do bursztynowego pałacu na gody i wspólną naradę. Gdy nadszedł dzień naznaczony, stawiły się wszystkie boginie wodne. Królowa Jurata, otoczona orszakiem najpiękniejszych nimf, ze złotą koroną na głowie i z bursztynowem berłem w ręku, weszła do wielkiej sali, uprzejmym ukłonem powitała nadobne dziewice, a zasiadłszy na bursztynowym tronie, tak do zgromadzonych mówiła:

„Miłe przyjaciółki i towarzyszki moje: Wiadomo wam, że wszechwładny Pramžimas, ojciec mój, a pan nieba, ziemi i morza, pod moję władzę oddał te wody i mnie poruczył panowanie nad wszystkimi mieszkańcami morza. Wzywam was na świadki, jako łagodne i szczęśliwe były rządy moje, choćby najmniejsza rybka, żaden, choćby najmniejszy robaczek, nie miał przyczyny skarżyć się na moje królowanie: wszyscy żyli w pokoju i zgodnie, nikt się nie poważył targnąć na życie drugiego. Ja sama, wasza królowa a pani tego morza i wszystkiego, co w niem żyje, nie śmiem ani jednej rybki ułowić do mego stołu, nawet flonderki, które tak lubię, tylko po jednej połowie zjadam, a drugą połowę znów wolną do morza puszczam.[1]) Tymczasem jeden nikczemny rybak, nazwiskiem *Kastitis*, nad brzegami mego królestwa, tam gdzie rzeka Święta hołd mi składa, wylewając w morze wody swoje, ośmiela się w państwie mojem naruszać powszechną spokojność. Słuchajcie! oto śmiertelnik ten łowi w sieci poddane moje, łowi ryby i rybki i na śmierć je skazuje. Śmiałości takiej darować mu nie mogę. Już gotowe czekają nas łodzie, siadajmy i płyńmy, miłe towarzyszki moje, nad brzegi Świętej, bo właśnie o tej porze zwykl tam Kastitis zarzucać sieć na poddane moje. Naszymi wdziękami, pląsami i śpiewami zwabimy go na zimne dno morza i dokonamy naszej zemsty, a piękne jego oczy, którymi czaruje wszystkie dziewice Żmudzi, mokrym żwirem zasypiemy.“

---

[1]) Żmudzini mniemają, że flonderki dlatego mają tylko jedno oko i postać jakoby połowy ryby, że Jurata bardzo one lubiąc, wszystnim drugą połowę poodgryzała i nazad do morza wpuściła.

Królowa Jurata rzekła, a śliczne boginie i dziewice wodne skłoniły się,, na znak posłuszeństwa. Natychmiast stanęło sto łodzi bursztynowych, ozdobionych perłami. Przy odgłosie czarownych pieśni cały orszak dziewic cudnej urody z najpiękniejszą Juratą na czele, popłynął na spokojnyzh falach szklistego morza na brzeg, by zemsty dokonać.

Dzień był jasny, słońce świeciło najpogodniej, ciche morze lśniło się jakby jedno ogromne zwiereiadło, w którem błękitne niebo wesoło się przeglądało, najmniejszy wietrzyk milczących wód nie poruszał, tylko lekkie łodzie szybko pomykając, zostawiały długie ślady jakoby drogi za sobą. Już ląd blisko, czarowne śpiewy bogiń mile rozlegają się w ciemnych lasach nadbrzeżnych, a każde echo po stokroć powtarza: „biada ci rybaku młody!“ Gdy dziewice dobijały do brzegów morza przy ujściu rzeki Świętej, ujrzały swego wroga, młodego rybaka Kastitisa, jak sieci rozwijał. Zdumiały się nad urodą rybaka: wysokie, białe jego czoło było pogodne jak niebo, oko błękitne jak toń wody, czarne długie włosy ocieniały urodziwą jego twarz, jak ocieniają ciemne drzewa brzegi morskie. Ze spokojem w duszy, weselem w sercu a piosnką na ustach rozkładał Kastitis sieci, marząc o sutym połowie. Wtem słyszy jakieś czarodziejskie dźwięki, odbijające się rozkosznie o tonia morza i odzywające się setnym echem w głębokich lasach nadbrzeżnych; podnosi oczy i spostrzega sto łodzi bursztynowych, które ćmią wzrok blaskiem odbijających się promieni słońca, a na tych łodziach widzi sto dziewic nadziemskiej urody, na czele ich najpiękniejszą królowę, z bursztynowem berłem w ręku, ze złotą koroną na głowie. Pieśni brzmią coraz milej, coraz dźwięczniej, a grono morskich bogiń otacza kołem rybaka, wabiąc go wdziękami i śpiewami na łodzie do siebie.

O! rybaku piękny, młody,
Porzuć prace, chodź, do łodzi,
U nas wieczne tany, gody,
Nasz śpiew troskę twą osłodzi.
My obdarzym boskim stanem,
Skoro a nami mieszkać będziesz,
Wśród nas będziesz morza panem,
I naszym kochankiem będziesz.

Słyszy to rybak, słucha i patrzy zdumiony, oczom swoim nie wierzy,—co to ma znaczyć sam nie wie. Ujęty zdradnymi wdziękami pięknych bogiń, ich cudnym śpiewem i pląsami, porzuca sieci i idzie rzucić się na łodzie. Już brnie w falach morza, by upaść do nóg morskiej królowy, albo zginąć na wieki w toniach wody. gdy Jurata, ujęta także pięknością rybaka, stawa w zadumaniu, podnosi bursztynowe berło na znak uciszenia się, i tak się odezwie:

„O! stój niebaczny młodzieńcze! Zbrodnia twoja wielka, zakłócasz spokój moich poddanych, zadajesz śmierć najpiękniejszym moim rybom i rybkom, zasłużyłeś więc na śmierć, którą ci zadać przypłynęłyśmy z bursztynowego pałacu. Ale ujęła mnie twoja uroda, twoje wdzięki! Przebaczę ci twoją winę, jeżeli mi przysięgniesz, że mnie kochać będziesz. Lecz jeżeli wzgardzisz miłością moją, miłością potężnej królowy

morza Juraty, córki wszechwładnego Pramžisa, natenczas biada ci rybaku młody! Zaśpiewam ci tylko jednę piosenkę, a natychmiast staniesz przy mnie, i za jednem dotknięciem mojego berła, zginiesz na wieki! Wybieraj!"

Ukląkł Kastitis, nachylił głowę, i wieczną królowy morza miłość poprzysiągł.

„Teraz już jesteś moim"—zawołała Jurata—„pozostań nad brzegiem morza, nie zbliżaj się do nas, bo gdybyś tylko jeden krok uczynił, przepadłbyś na wieki w głębinach wód;— nad ciałem twoim okrutną zemstę wywarłyby poddane moje, piękne twe oczy zasypałby żwir mokry. Ja co wieczór przypływać będę nad te brzegi Świętej rzeki, tam na tej górze, którą odtąd od imienia twego „Kastita" nazywam, ze sobą widywać się będziemy."

To rzekłszy, skinęła Jurata bursztynowem berłem, zaszumiały wiosła i cicho, bez śmiechów i śpiewów, odpłynęły boginie i morskie dziewice do bursztynowego pałacu.

Rok już mijał, jak każdego wieczora, o świetle księżyca, na bursztynowej łodzi, przypływała piękna królowa Jurata na brzeg Świętej, i na górze Kastita z młodym rybakiem się widywała.

Lecz Perkun, potężwy władca gromów i piorunów dowiedziawszy się, że królowa bogini poważyła się pokochać śmiertelnika, srodze się rozgniewał, a gdy pewnego razu Jurata z góry Kastita wróciła do swego bursztynowego pałacu, w gniewie swoim spuścił z nieba piorun, który z okropnym trzaskiem i łoskotem rozpruł bałwany morskie, bursztynowy pałac na drobre roztrzaskał kawałki, a Juratę zabił.

Pramžimas, bóg nieba, ziemi i morza a nieszczęśliwy ojciec Juraty, mszcząc śmierć swej córki, porwał młodego rybaka Kastistisa z nad brzegów rzeki Świętej, przykuł go na dnie morza do skały i złożył u nóg jego martwe ciało Juraty, na które on ciągle patrzeć musi i wiecznie płakać nad nieszczęściem swojem.

I od tego to czasu, kiedy wiatry zahuczą i wzbnrzonymi falami na wszystkie strony miotać poczną, wydobywają się z głębin pieniącego się morza dalekie, żałosne jęki: są to wyrzekania nieszczęśliwego rybaka. Szczątki zaś strzaskanego bursztynowego pałacu królowy Bałtyku, dotąd jeszcze morze na brzegi wyrzuca.

Ochrona ptaków.

Minister spraw wewnętrznych królestwa saskiego wydał rozporządzenie, mocą którego wszyscy inspektorewie dróg i drożnicy są obowiązani robić ułatwienia wszystkim Towarzystwom ochrony ptaków, a nawet osobom prywatnym przy zakładaniu sztucznych gniazd na drzewach przy drogach publicznych, a strażnicy mają je dozorować i pilnować.

Wróbel.

Powróciwszy pewnego dnia — opowiada Turgeniew — z polowania, przechadzałem się jeszcze w alei naszego ogrodu. Pies mój biegł przedemną. Nagle zwalnia kroku i postępuje z wielką przezornością, jakby zwietrzył jaką zwierzynę. Spojrzałem w ową stronę i zobaczyłem na ziemi wróbla „żółtodziuba". Wypadł on z gniazda z uginających się wichrem gałęzi brzozy i siedział skulony, poruszając nieśmiało, zaledwie upierzonemi skrzydełkami. Tresor już był tuż koło niego, gdy nagle spada przed nim wróbel, jak kamień z drzewa. Zrozpaczony, żałośliwie piszczał, dwa razy zrobił rozpęd, jakby chciał wpaść w szeroką paszczę Tresora. Rzucił się on z gałęzi, aby uratować dziecię swoje; chciał mu ciałkiem swojem służyć za wał ochronny. Drżał cały, głos jego brzmiał chrypliwo i dziko. Ginął z bojaźni przed śmiercią; on życie swoje ofiarował. Jak strasznym potworem wydawał mu się Tresor. Potęga silniejsza od jego woli spędziła go z gałęzi na ziemię. Tresor powstrzymał się, potem zaczął się cofać. Zdawało się, jakoby i on poznał tę potęgę. Spiesznie zawołałem na psa mego i oddaliłem się, przejęty czcią świętą. —Tak, śmiejcie się; była to cześć, którą poczułem dla tego małego, bohaterskiego ptaka, dla jego bezgranicznej miłości. Miłość, pomyślałem, jest silniejszą od śmierci i od bojaźni przed nią. Tylko miłością utrzymuje i porusza się wszystko, co żyje.

Ryby Północy i Południa.

Profesor Karol Vogt w artykule: „Wszelakie pożywienie" tak utrzymuje: Można przyjąć jako pewnik, że ciepło wytwarza smaczniejsze produkty ziemi, a chłód lepsze artykuły żywności wody. Dla roślin jest to prawdą niezbitą. — Nasze jabłka są doskonałe, nasze gruszki wyśmienite, jednakże nie dorównają one królowej wszelkich owoców, ananasowi i tysiącom innych owoców, za któremi koloniści tak przypadają, gdy je już zakosztowali i do właściwego im aromatu się przyzwyczaili. Niemniej da się toż zastosować do morza i do wód słodkich. Mało znajdzie ryb w morzu Śródziemnem, któreby co do smaku dorównały północnym łupaczom i sztokfiszom; familia pstrągów, łososi i murenów, arystokratyczna ryba, jest tylko na Północy i w chłodniejszych okolicach klimatu umiarkowanego swojską. Ryby Nilu, tak co do kształtu wielorakie, smakują tylko Arabom i Fella-

chom. Gdy porównamy dwa pokrewne rodzaje ryb tego samego gatunku z różnych mórz, przekonamy się, że ten rodzaj, który północny na Południu reprezentuje, chociaż co do barwy piękniejszy i co do kształtu ładniejszy, w smaku o wiele swoim pobratymcom północnym ustępuje.

Chloroformowanie.

Do chloroformowania chorych u nieuleczalnych zwierząt okazał się najpraktyczniejszym następujący aparat:

Zwierzę uśmiercić się mające przykrywa się odpowiedniej wielkości, okrągłym, w około i u wierzchu zamkniętym kartonem w formie ostrokręgu. Brzegi dolne powinny szczelnie przylegać do płaszczyzny. Przykrywszy nim zwierzę należy powtykać w różnych miejscach kilka kawałków waty, napojonej chloroformem. Silne przytrzymywanie zwierzęcia, co zawsze połączone jest z większem lub mniejszem niebezpieczeństwem, a choremu lub zranionemu zwierzęciu sprawia ból i cierpienia, — odpada tu zupełnie. — Zapach, wypełniający to pudełko odurza zwierzę natychmiast, a chociaż uśpienie nie jest jeszcze zupełne i zwierzę zawracając się, szukać będzie za wychodem, natrafi przytem nosem na jedną lub drugą pakułę waty i uśnie szybko i bez boleści. Taki przyrząd jest do uśmiercania zwierząt mniejszych, (psów i kotów) najlepszy. Należy jednak zastosować ilość chloroformu do wielkości zwierzęcia (dla średniego kota najmniej 80 gr.), lecz zawsze należy wziąć nieco więcej, gdyż tu chodzi głównie o zmniejszenie i skrócenie pasowąnia się ze śmiercią ulubionego zwierzęcia.

Konie w Nowym-Yorku.

Wilchelm Liebknecht w dyaryuszu swojej podróży do Nowego świata opowiada: Szczególnie zastanowiło mię, jak spokojnie odbywa się jazda w Nowym-Yorku. Nie usłyszysz tam ani trzaskania z bata, ani przekleństwa, ani ryczenia woźniców, ani smagania biczem. Koń amerykański nie jest bitym; on słucha w prawdziwem znaczeniu słów swego pana Posłuszniejszych koni nie widziałem; — to tryumf sztuki wychowania. Wychowawcy ludzi mogliby jeszcze wiele ztąd skorzystać. Kije robią upartych. Im więcej bicia, tem więcej uporu. Amerykanin ma to wspólne z Anglikiem, że jest dla zwierząt nadzwyczajnie ludzkim, Siebie nie

poszanuje on w cale, ale konia swego szanuje, a dla psa i kota jest nawet czułym.

Jakżeż odmiennie dzieje się u nas. Od „numerowanego“ fijakra do najbiedniejszego chłopka, to sami tyrani dla nieszczęśliwego konia. Zażywny fijakier, gdy jedzie wolno, staje przed szynkiem, pokrzepia się piwem, przelicza pieniądze, wsiada z butą na kozioł, świśnie konia batogiem i dalej za zarobkiem, niepomny, że spocony i spragniony koń z pożądliwością spogląda na wytryskającą wodę i pełny basen. Nie zada on sobie małego trudu zaczerpnąć wody i podać koniowi. W zimie, ściąga z konia derkę i obwija nią nogi swoje w butach juchtowych, a konisko drży z zimna, szpik mu w kościach zamarza.— Chłopek, wracając z targu, gdzie koniska jego stały na mrozie i słocie od rana po południa, staje przed karczmą, bawi w niej godzinami, a konięta marzną głodne, zawiane śniegami. Wyszedłszy utnie kilka razy biczyskiem po strętwiałych nogach, zaklnie, zawyje i dalej do domu. Tam dostaną jeść, gdy chłopek przyjedzie trzeźwy, albo zaczekają, aż chłopek się nazajutrz wytrzeźwi.

Nie jestto przesada, to jest reguła, z bardzo nielicznemi wyjątkami. Koń u nas jest najnieszczęśliwszem zwierzęciem. Dla niego nie ma stałego czasu pracy, dla niego nie ma pory do jadła, ani do wczasu. Jak długo go nogi noszą, jest on najnieszczęśliwszym niewolnikiem, ciągle wyzyskiwanym, ciągle krzywdzonym; jest to stworzenie u nas bezprawne.

Gospodarstwo.

O kurach swojskich i zagranicznych podaje w *Przęglądzie* pewien gospodarz z okolic Horożanki bardzo słuszne uwagi.... Nie zawadzi napomknąć o drobiu, i panującej zarazie drobiu. Uczeni weterynarze nazywają to katarem, inni tyfusem itd., a ja poprostu nazwę śmiertelnością, bo natem się kończy, że — szczególnie kury, kapłony i koguty — zachorowawszy, giną i to w sposób gwałtowny. Ani najlepszy pokarm, ani ciepło w stajence, ni czystość nadzwyczajna i lekarstwa różne nic nie pomagają.

Od zimy dotychczas kury wyginęły niemal doszczętnie, bo śmiało powiedzieć można, że zginęło ich 80 procent.

Jak długo trzymaliśmy nasze czubate polskie kury, przeważnie siemieniate, a koguty jasnopióre z czerwoną grzywką, bundziuczne, zawadjackie, wiecznie się między sobą czubiące (bo przecież na naszej ziemi zrodzone i wychowane), tak długo nie wiedzieliśmy nic o takiej śmiertelności drobiu. Od czasu sprowadzenia kur zamorskich, gdzieś z Kochinchiny, Bramaputry itp., sprowadziliśmy sobie biedę; bo one klimatu naszego nie znoszą, nasze pożywienie nie jest im odpowiednie, a jeszcze i to dodam, że są mniej nośne od naszych swojskich. A sławne kapłony z dawnych naszych kogutów były i duże i piękne, nie tak jak dzisiejsze, jakieś tam gołoszyjne nibyto kapłony.

Zosienka Mickiewiczowska pewnoby dzisiaj nie chciała chować tego zamorskiego ptactwa; przeto i my chowajmy dobre,

ale swoje kury, a na żadną chorobę drobiu użalać się nie będziemy.

Burty, 5 maja *J. S.*

Kury, aby dużo jaj znosiły, potrzebują nie tylko wiele wapna, ale także dużo białka; przydatnem jest tedy dawać kurom sporo produktów mleczarni, jak np. twarogu. Nie mniej mleko odtłuszczone na centryfudze, mleko zsiadłe lub maślanka, gdy tanio mają być spieniężane, przyczyniają się do obfitszego znoszenia jaj. W tym celu miesza się odpadki z mleczarni z mąką, otrębami, ziemniakami lub czemś podobnem, dbać jednakże o to trzeba, aby to nie skwaśniało. Przydatna ma być także mięszanina z 20 mniej więcej funtów gotowanych ziemniaków, z 1 klgr. mąki mięsnej, mocno w naczyniu jakim ubite i stosownie do potrzeby spasane, ale i przytem trzeba mieć staranie, aby i ta pasza nie skwaśniała.

Wypędzenie kreta z ogrodu na jakiś czas, uskutecznia się najpewniej i najtaniej za pomocą oleju francuskiego (oleum animale fötidum), którego po kilka kropel daje się na szmatki i wsuwa takowe do dziór i chodników, zrobionych przez kreta. Przeniesie się on do ogrodu sąsiada, który może mądrzejszy przyjmie go z radością. Zabijać bowiem kreta, znaczy wyrządzać sobie i drugim krzywdę.

Rozmaitości.

Odważne jaskółki. Na wieży Eiffel panuje obecnie hałas niemały. Liczny zastęp bowiem cieśli, elektrotechników i robotników fabryki gazowej, pospiesznie dopełnia swych robót. Mimo to para odważnych jaskółek na samym szczycie wieży uwiła swoje gniazdo. Mają się na co patrzeć, i to bezpłatnie do tego!

Siły pociągowej wołów próbowano na wystawie rolniczej w Sztokach w Badenii. Przeszło 100 par wołów roboczych, ważących od 15—20 cetnarów każdy, brało udział we współubieganiu się o nagrody. Przy próbach szybkości chodu w zaprzęgu jedna para wołów miała 40 cet. ładunku, a najszybszy zaprzęg przebył 1 kilometr drogi w 8 minutach, inne w 10 minutach i 40 sekundach. Na żwirówce rozmoczonej deszczem, 330 cetnarów ciężaru rozłożono na 2 wozach i zaprzężono do nich parę wołów. Tylko 5 par wołów podołało pracy poruszenia tego ciężaru na 1 kilometr drogi, tym też przyznano nagrody. Woźnicom nie wolno było użyć bicza, tylko słowami mogli napędzać woły do chodu.

Robert the Devil (Robert Djabeł) słynny koń wyścigowy angielski, w tych dniach zakończył życie.

W ciągu trzech lat (1879 do 1881) biegał on 50 razy, a tylko 4 razy został pobity.—Nagrody, które wziął w biegach przez te trzy lata, przyniosły właścicielowi pokaźną sumkę 224.000 zł.

Już po ukończeniu karyery wyścigowej właściciel tego bieguna sprzedał go na stadnika za 96.000 zł. Robert Djabeł żył lał 12.

Wyskok cywilizacyi francuzko - angielskiej. W Anglii w Forest of Dean, zdarzył się wypadek, przypominający żywo barbarzyńskie

czasy średniowieczne. Czterech Francuzów wędrowało po wsiach z dwoma niedźwiedziami, każąc miłym tym stworzeniom produkować się w tańcach. Otóż pewnego dnia rozeszła się wiadomość, że niedźwiedzie, pożarły dziecko i poraniły jakąś dziewczynę. Naturalnie wieść ta była zmyśloną. Cała ludność wsi Bittledeau puściła się, rozbestwiona, w pogoń za Francuzami, rzuciła się z kijmi na nieszczęśliwych „impressarjów" i na niedźwiedzi, zabiła ostatnie, napastwiwszy się nad nimi do syta, a ludzi tak poturbowała kijmi i kamieniami, że jeden z nich został na miejscu bez przytomności, trzech zaś poranionych zdołało dzięki pomocy kilku litościwych ludzi uciec do lasu.

Niepochlebne. Ludność wrocławska nie może pochlubić się poszanowaniem własności publicznej. W roku ubiegłym otruto tam w miejscowym ogrodzie zoologicznym olbrzymiego słonia, w tych dniach zaś wspaniałego hippopotama, za którego zapłacono niedawno 10.000 m Oba zwierzęta zgładził jakiś psotnik zatrutą bułką.

Olbrzymi szkielet przedpotopowego zwierzęcia z rodzaju leniwców, megaterium, znaleziono w okolicy Buenos-Ayres, w Ameryce. Okaz ten jest tem cenniejszy, że jest pierwszym, który posiada nie naruszoną w całości głowę, a ma ona długości 80 centymetrów, górna szczęka zaś ćwierć metra. Pierwszy szkielet megaterium odkryto przed laty stu, właśnie w Brazylii, gdzie gubernatorem był wówczas markiz Lozetto, który oceniając ważność tego odkrycia, wysłał szwadron huzarów dla strzeżenia, w dzień i w nocy odkopanego skarbu, dopóki go nie zabrano i do Madrytu nie przewieziono, gdzie się też w przechowaniu znajduje.

W „Kunstvereinie" wiedeńskim wystawił malarz Pausinger za zezwoleniem cesarza cykl obrazów swoich przedstawiających epizody z ważniejszych polowań cesarza w porządku chronologicznym (od 25 grudnia roku 1848 począwszy, w którym to dniu młody monarcha ubił pierwszego jelenia. Na obrazie z datą 6 października 1873, przedstawiającym polowanie w Gödöllö 500 tny z rzędu jeleń padł z ręki monarchy. Do czerwca 1882 roku zabił cesarz 1500 kozic ; do kwietnia 1880 500 cietrzewi. Ostatni obraz nosi datę 1 sierpnia 1887 roku, epizod z łowów w Salzkammergut, na których cesarz upolował olbrzymiego rogacza.

Koń w okularach. *Pall Mall Gazette* opowiada o koniu, który dla słabego wzroku nosi okulary. Do tego dodaje *Court Journal* że okular dla koni używano już przed 100 laty, a jeden taki koń w okularach, został na wyścigach zwycięzcą.

Za dręczenie zwierząt ukarała policya miejska w Rzeszowie, w czasie od 2 do 30 marca b. r. osób 13. Z porównania ze Lwowem przypuścić należy, że albo we Lwowie mniej jest dręczycieli, albo że policya rzeszowska jest czujniejszą. Ponieważ jednak we Lwowie dostrzedz można na każdem miejscu dręczenie zwierząt, szczególnie koni, przypuszczenie drugie zdaje się być prawdziwszem.

Kolor inwazyi. Bardzo ciekawe odkrycie zrobił jeden z współpracowników paryskiego *Petit Journal*, zwracając uwagę czytelników na chrząszcza majowego, które to bardzo żarłoczne zwierzę ma na

brzuchu „pręgi czarno-białe, t. j. kolor inwazyi“. Będzie to rozumie się powodem, aby temu ogólnie niebezpiecznemu stworzeniu wypowiedzieć *la guerre à outrance!*

Olbrzymi wieloryb przywieziony został w ostatnich dniach do Wiednia i wystawiony na widok publiczny w Praterze. Morski ten potwór, który złowiony został niedawno w wodach Kattegatu przez duńskich rybaków, zakupiono do zoologicznego muzeum w Kopenhadze. Ma on 62 stóp długości, a waży 61.500 funtów. Przy preparowaniu go do wypychania, zajętych było 30 rzeźników, którzy wyjęli z niego 1.200 funtów wnętrzności. Czterech rzeźników pracowało, stojąc w klatce piersiowej, a tyleż w paszczy. Balsamowaniem kierował jeden z duńskich lekarzy. Przewiezienie tego olbrzyma do Wiednia było równie uciążliwe jak i kosztowne. Wyładowania na dworcu kolei północno-zachodniej dokonano za pomocą najsilniejszych wind amerykańskich, a 16 par koni wiozło go z dworca do Prateru. Belki do podstawy 15 metrów długie, a 15 cali grube kosztują same kilkaset guldenów. Koszta transportu wynoszą 16.000 mark.

Rzeźnicy a cielęta.

Pewna grupa rzeźników warszawskich wystąpiła do zarządu ober policmajstra z prośbą o zniesienie ustanowionych klatek dla cieląt, które nie mogą być inaczej karmione, jak tylko w postawie leżącej i ze związanemi nogami. Specyaliści z urzędu lekarskiego i Towarzystwa opieki nad zwierzętami uznali powyższe wystąpienie, jako bezzasadne, wskutek czego p. oberpolicmajster poleca komisarzom cyrkułowym ściśle dopilnować, aby na targach tamtejszych wszystkie cielęta były trzymane w przegrodach, odpowiednio urządzonych i zawsze z rozwiązanemi nogami, oraz aby je karmiono papką mączną; wykraczających zaś rzeźników i przekupniów należy pociągać do odpowiedzialności sądowej, według § 43 ustawy karnej. *Przyj. Zwierząt.*

Ostatni dąb na spustoszałych do szczętu Wałach Hetmańskich, naprzeciw kawiarni wiedeńskiej, dotychczas nie świeci żadnym listkiem. Przeszłego roku zaledwie w Lipcu się zazielenił. Myriady bowiem owadów, żyjących na dębie, pożerają zawiązek każdego listka. Aby uratować to wspaniałe drzewo i uwolnić inne od tej plagi, prosiłem już roku zeszłego p. dyrektora Hochbergera, p. inspektora ogrodów Röhringa i wszystkich ogrodników, których tam spotkałem, aby oczyścili to drzewo z licznych zwojów zesłych liści, siedzib owadów, lecz nikt ani rady, ani prośby mojej nie usłuchał. Zapewne i ten dąb ostatni przeznaczony jak wszystkie inne drzewa, aby usechł „według planu“ w nocy został ścięty, wykopany i wywieziony i zrobił miejsce dla szczepionej akacyi. Nasze bowiem skarłowaciałe społeczeństwo nie znosi przedstawiciela siły i wytrwałości.

W tej chwili wyczytuję w *Kurjerze Lwowskim* z 25 maja następujące doniesienie: „Na plantacyach Hetmańskich we Lwowie pojawiły się od kilku dni olbrzymie roje gąsienic, które objadają klony, a nawet rzucają się już na kasztany. Najpiękniejszą zielenią okryte drzewa, tracą swe korony, i wyglądają, jakbyśmy mieli już listopad. Pan Röhring, troskliwy ogrodnik miejski, stara się zwalczać tę klęskę obfitemi natryskami wody. Ptactwo również pomaga, ale może kto z do-

świadczonych znajdzie skuteczny środek. Niektórzy doradzają skrapianie kwasem karbolowym."

O troskliwości świadczy fakt powyżej podany, a zwalczanie tej klęski natryskiem wody uważam za śmieszne. Ponieważ i druga połowa plantacyj ma uledz według planu takiej zupełnej dewastacyi, jakiej uległa już jedna połowa, przeto niepotrzebnem jest zwalczanie tej klęski natryskami wody, lecz owe olbrzymie roje gąsienic powitać raczej należy jako miłych sprzymierzeńców, przychodzących z pomocą w sam czas. One to sprawią, że drzewa uschną, i w tedy wycinać je będzie można nie pod płaszczykiem nocy, lecz w dzień biały.

Istnieje dawny przepis, że właściciele ogrodów mają pod zagrożeniem ostrych kar, oczyszczać na wiosnę drzewa z gąsienic, a nad wykonaniem tego czuwać mają organa gminy. Jeżeli zaś gmina na plantacyach swoich zaniedba wykonania tego bardzo racyonalnego przepisu, wtedy niedbałym funkcyonaryuszom gminnym wydaje się publiczne świadectwo troskliwości.

Cud w przyrodzie.

O niepojętej zdolności rozpładzania się najmniejszych żyjątek, ogłasza słynny szwajcarski przyrodnik Forel w *La nature* nader ciekawe swoje spostrzeżenia: Jest to prawdą niezbitą, że jedna „Stynolichia" rozpładza w jednym miesiącu 150 rodzajów. Płody jednego zwierzątka, które w ciągu jednego miesiąca na świat przychodą, razem wzięte, utworzyłyby kulę tysiąc razy większą od słońca (?). Zwierzątko to jednak jest tylko 0.2 milimetra duże i tylko pod mikroskopem widzialne. Na szczęście przyroda postarała się o to, że przeważnie większa część tych zwierzątek, jak inne mikroskopijne żyjątka, ginie przed rozmnożeniem się; inaczej cały świat planetarny nie miałby miejsca dla nich.

X. międzynarodowy kongres Towarzystw ochrony zwierząt odbędzie się tego roku w Dreznie w dniach 11 i następnych czerwca.

Towarzystwo galicyjskie zastąpione będzie na tym kongresie przez Ryszarda Funklera de Treuinfeld, prezesa Tow. wiedeńskiego, do czego go wydział upoważnił i odpowiednie pełnomocnictwo przesłał.

Walne Zgromadzenie

Galicyjskiego Towarzystwa Ochrony Zwierząt

odbędzie się dnia 15. Czerwca b. r.

o godzinie 6-tej wieczorem

W sali Czytelni Kasyna miejskiego

przy ulicy Akademickiej.

Lwów, dnia 1. Czerwca 1889 r.

Wydział.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pod zarządem St. Baylego.